

Od autora: Po otrzymaniu wyroku i opuszczeniu sądu bohater/narrator myśli, że usunięto go z filmowego klubu. Okazuje się jednak, że otrzymał szansę na zdjęcie z siebie odium przegranego twórcy filmu.

Jego film, okazuje się, zapracował na sukces. Jednak szansa dostania pracy w telewizji jest kolejnym fiaskiem. Wraca do domu i próbuje odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Jednak życie w Wałbrzychu nie jest usłane różami.

Zachęcam Autorów i Czytelników do śledzenia dalszych dziejów narratora/bohatera.

Zapewniam: nie zawiedziecie się...

Rozdział 19 *Monika rozwija karierę – ja próbuję podnieść się z kolan*

W trakcie jednej z „pingpongowych” wyprowadzek żony, siedząc sam w domu Rodziców, wziąłem do rąk jedno z przynoszonych przez Ojca z Empiku czasopism. Był to prestiżowy zachodniemiecki magazyn dla bogatych snobów interesujących się życiem europejskiej arystokracji i wyższych sfer: Bunte. Znający niemiecki Ojciec pewnie czytywał zawarte w piśmie pikantne ciekawostki o powabnych celebrytkach i plotki o rodzinach królewskich, udokumentowane efektownymi barwnymi zdjęciami. Nagle mnie zamurowało. Zobaczyłem rozpostarte na całą stronę wspaniałe zdjęcie Moniki.

Na jej piersiach, nieskromnie obnażonych głębokim dekoltem, iskrzył się zapewne ogromnej wartości naszyjnik z brylantów, a uszy zdobiły brylantowe kolczyki.

„Boże, ale się jej udało”! – Nie miałem wątpliwości, że moja aktoreczka musiała zostać wysoko cenioną modelką. Przypomniałem sobie chwilę, kiedy żegnała się ze mną przed wyjazdem do Wiednia. Trzymała w ręce pudło z podarowaną jej przez Jurka Karpińskiego kopią filmu Idole. Nasunęło mi się pytanie: „czy mój film mógł jej pomóc zrobić w Austrii karierę”? Całkiem możliwe...

Parę lat później dowiedziałem się, że niedługo po ślubie porzuciła siedemdziesięciolatka. Musiała go potraktować przedmiotowo, jako trampolinę do przeskoku w świat wiedeńskiego świata mody i celebrytów. Następnym jej partnerem został Heinz Sebek – pochodzący z szanowanej wiedeńskiej rodziny – właściciel wielkiej agencji modelek. Wkrótce potem spotkałem ją w Warszawie. Przedstawiła mi towarzyszącego jej przystojnego Sebeka, była już jego żoną.

* * *

Niewiele wiem o powodach wywalenia z MSW pułkownika Piwnika. Później snułem przypuszczenia, że mógł podpaść, ekspediując Monikę do Wiednia z misją działania na rzecz peerelowskiego wywiadu. Tymczasem ona zagrała mu na nosie. Wykorzystała atut swojej urody, by ziścić wymarzoną karierę modelki. Piwnik mógł się narazić wyższemu w hierarchii bezpiekiacy. Prowadzący go generał MSW prawdopodobnie miał dość podwładnego, który nie panował nad własnymi żądzami i tracił kontrolę nad prostytutkami współpracującymi z bezpieką. Może właśnie zerwanie się Moniki z bezpiecz-

niackiej smyczy przesądziło o życiowej klęsce pułkownika?

Pomyślałem tak, bo kiedy go spotkałem po kilku latach, wyglądał żałośnie i był pijany jak świnia. To było kilka lat po mojej filmowej klęsce. Piwnika spotkałem na dyskotecie w restauracji Stolica na Placu Bohaterów Warszawy. Odwiedziłem wtedy kolegę Andrzeja, pracował tam, nadzorując jak wcześniej w Stodole bramkarzy rozprawiających się z chuliganami. W pierwszej chwili pułkownika bezpieki nie poznałem. Jeszcze parę lat temu był przystojnym szefem Adama Łukomskiego i kimś, wzbudzającym u Moniki respekt. Był uosobieniem wszechmocy peerelowskich służb.

– Cześć reżyser. – Z trudem do mnie dotarło z powodu nadmiaru decybeli dyskotekowego szlagieru.

Zobaczyłem faceta o wyjątkowo odpychającej facjacie. Podpierał bufet, przy którym siedziałem, sącząc żytnią zmieszaną z sokiem pomarańczowym. Podniósł kieliszek i po wykonaniu gestu toastu, wlał wódkę w gardło.

– Skąd mnie znasz? – Przekrzyczałem hałas, płynącej z głośników muzyki. Jego fizjonomia, choć kogoś przypominała, nie kojarzyła się z nikim znajomym.

Facet miał teraz wyraźną nadwagę, a jego spuchnięta twarz nabrała okrągłości arbuza. Był zaczerwieniony i spocony jak człowiek cierpiący na nadciśnienie. Pewnie w opinii kardiologa, byłby klasycznym przykładem osobnika zagrożonego apopleksją.

– Nie poznajesz?! – przekrzyczał decybele dyskoteki. – A pamiętasz Monikę Jabłońską i Adama Łukomskiego?

– To ty? – Wreszcie go rozpoznałem. – Musi ci się dobrze powodzić – powiedziałem z ironią, kierując wzrok na jego brzuszdyło wylewające się z rozpiętej marynarki.

– Wiesz co? Dobrze powiedziałaś. Powodzi mi się nawet bardzo dobrze – powiedział te słowa ze skrzywioną miną, jakby zbierało mu się na płacz. – Jestem agentem na dużej stacji CPN-u, a tam siedzi moja żona – pokazał kciukiem za plecy, na zatłoczony parkiet otoczony stolikami z klientelą Stolicy. – Właśnie świętujemy mój pierwszy zarobiony milion.

Z ulgą uwolniłem się od jego towarzystwa.

Po spotkaniu zapamiętałem Piwnika jako kogoś nieszczęśliwego, rozbitego wewnątrz. Nie żałowałem go. Od chwili, gdy uderzył mnie łokciem w twarz, miałem go za bydlaka. Pomyślałem, że za skurwysyństwo tak obleśnym wyglądem pokarał go los.

* * *

Nieraz próbowałem poddać moralnemu osądowi cinkciarstwo. Przynajmniej ten zakres tego procederu, jaki uprawiałem sam albo wspólnie z bratem Radkiem. Wedle mojego mniemania pracowaliśmy ucz-

ciwie. Zawsze wypłacaliśmy ustalone z cudzoziemcami stawki. Przy okazji, wprowadzając dewizy na czarny rynek, pomniejszaliśmy dochody banków państwowych, oferujących znacznie zaniżony kurs dolara i innych twardych walut. Czy było się kim przejmować? Nadzorowane przez komunistów banki, poprzez zdradzieckie umowy handlowe z ZSRR, między innymi rubla transferowego, łupiły nasz kraj. Więc pośrednio działaliśmy przeciwko wschodniemu okupantowi.

Pokątną wymianą złotych na dewizy zajmowało się wielu amatorów szybkiego zysku, w tym kryminaliści. Prawie wszyscy cinkciarze, którzy zżynali kozaków, niby nie bojąc się władzy ani konsekwencji prawnych, współpracowali z milicją i SB. Za bezkarność płacili władzy haracz. Wystawiali pod pewexami – państwowymi sklepami gdzie za dolary można było kupić lepszej jakości zachodnie towary¹. Zaczęli posiadaczy waluty i amatorów atrakcyjnych zakupów, by bez żenady namawiać do sprzedaży dewiz lub oferowali bony dolarowe po wysokim czarnorynkowym kursie. Owi cinkciarze często posuwali się do bezczelnych oszustw. Stosowali tak zwaną „wajchę”. Polegało to na zaproponowaniu bardzo korzystnej ceny zakupu i wypłaceniu drastycznie pomniejszonej kwoty. Oszuści uprawiali proceder, stosując różne sztuczki. Na przykład: zamiast wypłacić cudzoziemcowi obiecaną kwotę, wręczali obłożony banknotami plik pociętych papierów. Metod „na wajchę” stosowano wiele. Niektórzy cinkciarze ćwiczyli sprawność palców, żeby skutecznie stosować wajchę, w czasie odsiadki wyroków. Inni mieli wrodzone manualne predyspozycje. Nigdy ja ani brat nie posuwaliśmy się do stosowania tych podstępnych sztuczek.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęła się walić peerelowska gospodarka. Lokatorzy coraz trudniej dopinający domowe budżety, niechętnie inwestowali w usługi oferowane przez domokrażców. Następowła inflacja złotych, która nie miała pokrycia w towarze. Natomiast wszystko było dostępne za zachodnie dewizy. Po klęsce pomysłu, żeby zarabiać boksem jeszcze jeździłem wkręcać wizjery, zebrałem też kilka zamówień na uszczelnianie okien szwedzką taśmą. Zarabiałem coraz mniej. Tymczasem powstawał coraz większy popyt na walutę zza żelaznej kurtyny.

* * *

Dewizami zacząłem handlować sześć lat wcześniej, na początku lat siedemdziesiątych. Miałem za sobą urlop dziekański poświęcony na nieudane rozkręcanie pięściarskiej kariery. Cinkciarzem zostałem przypadkiem. Snułem się po stolicy z kolegą, który wybierał się do matki, do Kanady. Załatwiał w ambasadzie formalności, kupował bilet na transatlantyk Batory, a ja mu asystowałem jako rozrywkowy kompan.

W trakcie „gościnnych występów” czułem się przygnębiony. Przed paroma miesiącami rozstałem się z pierwszą miłością Ewusią. Przestałem regularnie uczęszczać na bokserskie treningi. Na wyjazd do Warszawy zdecydowałem się po rezygnacji z przygnębiającej pracy w biurze kreślarskim. Miałem nieśmiałą nadzieję, że eskapada z kolegą, pomoże poprawić samopoczucie.

Ożywiłem się na Placu Konstytucji, przed Hotelem MDM. Zobaczyłem kilku mężczyzn, usilnie próbujących się dogadać z rośłym Francuzem o czerstwej twarzy, opartym o lśniącą limuzynę Citroen DS19. (Takim autem jeździł prezydent Francji generał de Gualle). Poza boksem i korepetycjami dawanymi Ewusi, żeby przepchnęła się do następnej klasy wieczorowego ogólniaka, miniony rok poświęcałem na naukę francuskiego oraz angielskiego. Nagle nadarzyła się okazja do konwersacji, na dodatek z właścicielem cudu motoryzacji. Rozepchałem otaczających cudzoziemca jegomości i zapytałem:

– Avez vous besoin d'informations?²

– Enfin, qulqu'un qui parle francais³. – Ucieszył się Francuz.

Interesowało go czy MDM to hotel, w którym ma rezerwację dla swojej rodziny. Na pokazanych mi papierach doczytałem się, że tak. Z Citroena wysiadła jego żona z dwiema córkami. Wdzięczni Francuzi zaprosili mnie z kolegą na wino. Gdy żegnaliśmy się, właściciel wspaniałego samochodu zapytał, czy nie wymienilibyśmy franków na złotówki. Lepiej znający kursy walut kolega, powiedział, żebym zaproponował dziesięć złotych za franka.

– Kupmy za wszystko, co mamy – zachęcał.

– Za wszystko? – Wystraszyłem się. – I co z tym zrobimy?

– Sprzedamy z zyskiem. – Usłyszałem, nie dowierzając w sens zakupu.

Podjechaliśmy pod bank na ulicy Czackiego i w ciągu dwudziestu minut, po sprzedaniu handlarzowi czterystu franków, staliśmy się bogatsi o trzy tysiące dwieście złotych. Za franki dostaliśmy bez targowania po osiemnaście złotych za jeden. Zarobiliśmy dwie pensje, na które musiałem pracować w znienawidzonym biurze kreślarskim Baranowicza. Byłem w szoku. Kolega wrócił do Szczawna-Zdroju, a ja pozostałem i zacząłem zaczepiać zachodnich turystów, nabierając wprawy jako cinkciarz. W tym czasie wypracowałem najskuteczniejszy zarobkowy patent. Polegał na wysysaniu dewiz od wysiadających z międzynarodowego ekspresu cudzoziemców i zaopatrywaniu ich w złotówki. O godzinie 18.00 z minutami na Dworcu Gdańskim zatrzymywał się pociąg Paryż-Moskwa. Dzięki studenckiej legitymacji mieszkalem w akademiku na ulicy Kickiego, codziennie prałem białą koszulę non-iron, zakładałem krawat, kupowałem trzy róże i skropiony wodą Old Spice wchodziłem na peron przed przyjazdem pociągu. Udałem krewnego mającego witać przyjeżdżającą rodzinę. Tak zamierzałem się tłumaczyć, gdyby przyczepił się do mnie jakiś milicyjny tajniak. Po opuszczeniu międzynarodowego pociągu na postoju taksówek ustawiała się długa kolejka przyjezdnych. O zdobycie wolnej taksówki toczyły się między podróżnymi kłótnie przepychanki, dochodziło nawet do rękoczynów. Wpadłem więc na pomysł. Już przed przyjazdem pociągu kontraktowałem dwa samochody tak zwanych łepków (nielegalnych taksówkarzy), obiecując kurs dla rodziny z zachodu. Na peronie dyskretnie pytałem po francusku lub po angielsku.

– Do you need a taxi? I've got two at my disposal⁴.

Prawie nie było dnia, żebym nie wypełnił samochodów przyjezdnymi cudzoziemcami. Kazałem jechać do centrum dookoła, prawym brzegiem Wisły i tam zwracałem uwagę pasażerów na widoczną za rzeką Starówkę. Cytując wyuczone na pamięć zwroty z turystycznego folderu, opowiadałem o całkowitym zburzeniu tej zabytkowej części stolicy w czasie Powstania i jej odbudowie. Chciałem zdobyć zaufanie obcokrajowców, pokazać, że jestem inteligentem, a nie łasym na zawartość ich portfeli cwaniaczkiem. Następnie przechodziłem do konkretów. Tłumaczyłem jakie złodziejskie praktyki stosują komunistyczne banki, wymieniając dewizy za jedną czwartą rynkowej wartości. No i proponowałem korzystną dla obu stron cenę.

Po dwóch tygodniach uprawiania cinkciarskiego proceduru wróciłem do domu z poczuciem sukcesu. Torbę miałem wyładowaną prezentami. Zawierała wielką puszkę niedostępnego w polskich sklepach kakao Van Hutena, nowe džinsy Lee dla Brata, dla Matki srebrną, wysadzaną bursztynami biżuterię, a dla Ojca

duże pudełko wedlowskich czekoladek. Sam wystroiłem się jak model, reklamujący galanterię odzieżową z peweksu. Ponadto zostało mi prawie dziesięć tysięcy na wyjazd nad morze.

Dopiero w roku 1979 po raz pierwszy uroki cinkciarstwa zakosztował brat Radek. Waluciarski team stworzyliśmy parę miesięcy później. Nie tylko Radek podziwiał pojawiające się u schyłku epoki Gierka zachodnioniemieckie turystyczne autobusy.

„Jadą ci, co przegrali wojnę”. – Ironizowali poszarzali mieszkańcy Wałbrzycha, karmieni przez ćwierć wieku propagandą o „wspaniałym” zwycięstwie bratniej armii radzieckiej wyzwolającej nas z niemieckiej okupacji, by narzucić następną niewolę.

Na tle peerelowskich autobusów o wyblakłym lakierze te niemieckie prezentowały się fantastycznie. Jeszcze bardziej efektownie od lśniącej limuzyny citroena na francuskiej rejestracji koło hotelu MDM, przy której rodzime warszawy i syrenki wyglądały jak zabiedzone sieroty. Właśnie ten citroen niczym potężny magnes stał się wabikiem, sprawiającym, że zostałem cinkciarzem. Klimatyzowane autobusy, przyciągały wzrok pięknymi kolorami reklam. Połyskujące blaskiem metalizowanego lakieru, wydawały się sunącymi po drogach oazami bogactwa. Kiedy przejeżdżały przez Wałbrzych, kontrastowały z tłem poszarzałych od dymów ponemieckich budynków, na które spadały tony sadzy z pozbawionych ekologicznych filtrów kominów kopalń i koksowni.

Szczęście uśmiechnęło się do Radka, w zimny, choć słoneczny marcowy ranek.

– Wsiadłem z miejskiego autobusu w pobliżu Hotelu Sudety – opowiadał o swojej przygodzie.

Ten nowy orbisowski hotel z betonu, szkła i stali, o kształcie płaskiego prostopadłościanu, od pewnego czasu stanowił jeden z charakterystycznych elementów wałbrzyskiego krajobrazu.

– Było koło dziewiątej i miałem chwilę czasu, aby w pobliżu się pokręcić i złapać autobus do Kuźnic Świdnickich. (Tam była sala bokserska). Kilka wspaniałych zachodnio-niemieckich autokarów dumnie stało na hotelowym parkingu. By nie wpaść w oko wszędobylskich wokół zachodnioeuropejskich turystów tajniaków, postanowiłem sprawdzić pobliskie boczne uliczki. Przy odrobinie szczęścia mogłem się natknąć na niemieckiego turystę.

„To jeden z nich” – zabiło mi mocniej serce, widząc samotnego mężczyznę w eleganckim płaszczu i tyrolskim kapelusiku z piórkiem.

– Entschuldigen bitte, Ich brauche westlischen Gelt. Ich muss kaufen Madikamente fuer meine Mutter – zagadałem do Niemca. – Schlage vierzig zloty fuer eine Mark vor⁵ – dodałem, wyjmując zwitek polskich banknotów, wszystko co miałem przy sobie.

Uśmiech Niemca powiedział, że cena go zadowala. Kupiłem sześćdziesiąt marek i zapytałem, czy inni turyści, z którymi przyjechał, chcieliby również wymienić trochę pieniędzy.

– Na, klar⁶ – zapewnił turysta.

– Powiedział, żebym przyszedł do hotelowej restauracji o pierwszej trzydzieści. Na tę godzinę mieli zaplanowany obiad. Po treningu pobiegłem w spoconym dresie do sekretariatu – kontynuował opowieść Radek. – Siedziało tam dwóch decydentów klubu: trener Wędzicha i kierownik sekcji bokserskiej. Popro-

siłem o chwilę rozmowy. Na widok trzech banknotów dwudziestomarkowych zaświeciły się im oczy. Powiedziałem o możliwości zakupu waluty po kursie cztery dychy za markę.

– Radeczku, odpalam furę i jedziemy. – Ucieszył się kierownik klubu. Nigdy przedtem się do mnie tak serdecznie nie odezwał.

– Punktualnie o pierwszej trzydzieści wszedłem do restauracji Sudetów. W kieszeni miałem gotówkę należącą do pierwszego trenera i kierownika. Czekali na mnie zewnątrz w Peugeot’cie. (Kierownik był wtedy jedynym w klubie posiadaczem samochodu osobowego). Czując się spięty lękiem, że mogę zostać zaaresztowany przez ubranego po cywilnemu gliniarza, rozglądałem się po restauracji. Ubrani w czarne smokingi kelnerzy poruszali się szybko, wprawnie roznosząc tace obciążone daniami gorącego jedzenia. Stoliki zajmowali starsi elegancko ubrani ludzie. Szwargotali po niemiecku. Jakiś facet do mnie pokiwał. Nie rozpoznałem go, bo nie miał na głowie tyrolskiego kapelusika ani płaszcza. Jedno krzesło przy jego stoliku było wolne. Skinął, abym usiadł. Zauważyłem, że kelner o kruczoczarnych włosach przylizanych na bok, podejrzliwie mi się przygląda. „Muszę działać szybko, zanim wezwie milicję.”. Szczęśliwie wszystko poszło jak po maśle. Byliśmy z Niemcem z siebie zadowoleni, uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Nie zdziw się przy wypłacie – powiedział na pożegnanie kierownik klubu – od dzisiaj przechodzisz na stawkę pracownika dołowego, Do tej pory byłem na niższej o dwa tysiące miesięcznie stawce powierzchniowej.

– Teraz ci coś powiem – zwrócił się do mnie Radek po skończeniu relacji o cinkciarskim debiucie. – Wiesz? W Victorii o ciebie pytają, skądś wiedzą, że byłeś cinkciarzem. Miałbyś zbyt na każdą ilość.

– Jak to sobie wyobrażasz, przecież mam wyrok w zawiasach – odpowiedziałem.

– Przecież znamy języki, a tajniacy nie zabronią nam rozmawiać z cudzoziemcami. Te kapuściane łby nie rozumieją po angielsku ani po francusku. Skąd się dowiedzą, że proponujemy wymianę złotych na dewizy?

– Też byś w to wszedł? – zapytałem podekscytowany.

– Chętnie, ale za półtora miesiąca. Teraz mnie nie puszczą. Mamy sezon ligowy, mecze juniorów i mistrzostwa Dolnego Śląska. Nie ma mowy, żebym się wyrwał.

Myśl o cinkciarstwie ożywiła mnie. Kojarzyła się z lepszymi czasami, emocjami i świetnymi zarobkami. Podczas handlowania walutą stać mnie było na posiłki w luksusowych restauracjach. Ostatni raz zaprosiłem przypadkowo spotkanego wakacyjnego kolegę na kaczkę z jabłkami do kameralnej restauracji Krokodyl na rynku Starówki. Jedząc wykwintne danie przy świecach, czułem się jak zamożny turysta z Zachodu. „Ech, to były czasy...” – Westchnąłem.

Nie mogąc czasem zasnąć, zastanawiałem się, czy zaryzykować. Miałem uciulanych parę tysiąków. „Zanim włączy się brat, mogę już nieźle zarobić. Czemu nie spróbować”?

Rozdział 20 *Duchowa odmiana*

Jako dzieci byliśmy z Radkiem ministrantami. Nie dostąpilibyśmy tego wyróżnienia, gdyby proboszcz nie uważał nas za pobożne owieczki. Choć nie raz chwiała się nasza wiara, jakoś w nas trwała. Usiłował ją sprowadzić na manowce przebiegły szatan, wielokrotnie poddawał kuszącym zakusom. Przecież niewiele z pobożnością miał wspólnego rock and roll, big bit, pogoń za ciuchami, alkohol, prywatki. Jeszcze mniej podrywanie dziewczyn i nakłanianie ich do intymnych zbliżeń. Nawet jeszcze jak byliśmy dziećmi, Ojciec poddał naszą wiarę ciężkiemu egzaminowi. Zademonstrował przed swoją siostrą, ciotką Różą, wojskową metodę nawracania synów do szacunku dla Wielkiej Trójcy. „Musztra” – komenderowana przez ojca – była karą za naszą sprzeczkę na oczach wiernych. Kłótnia z bratem miała miejsce na ołtarzu, powyżej którego widniał złocony fresk Boga Ojca, Syna Bożego i Świętego Ducha. Klęczeliśmy jako ministranci przed tyłem do nas obróconym proboszczem i wówczas, na oczach parafian, między mną i Radkiem prawie doszło do bójki. Stało się to w czasie niedzielnej sumy, podczas ceremonii Podniesienia. Kapłan obiema dłońmi uniósł kielich z winem symbolizującym Krew Pańską. Wówczas uroczystą ciszę przerwało nieoczekiwane dzwonięcie mocno wyszarpywanego sobie dzwonka. Chodziło o piękny niklowany dzwonek. Rozległy się też inne dźwięki, podobne do tępego klekotu dzwonek zawieszonych na karkach biegnącego stada baranów. Nawzajem usiłowaliśmy sobie wepchnąć ów inny stary, zaśniedział dzwonek, by posiąść ten świecący od niklu i brzęący niczym sopran pięknej anielicy.

– Co wy sobie gówniarze myślicie, że pozwolę wam na obrażanie Najświętszego Sakramentu i Świętej Trójcy?! – wrzeszczał ojciec godzinę później. – Na koksowni mam sześciuset ludzi i przestrzegają dyscypliny! A wy?! Będziecie dawać publicznie popis rozwyrzenia!? Udowodnię wam, że będziecie chodzić jak szwajcarskie zegarki! – łajał nas leżących na podłodze po wojskowej komendzie „padnij”. Obaj byliśmy spoceni po wykonaniu serii rozkazów „padnij – powstań”.

Roniłem łzy w czasie wykonywania pompek, po kolejnej komendzie ojca. Nieoczekiwanie, starsza jego siostra, wybuchła spazmami zjadliwego chichotu, a my patrzyliśmy z przerażeniem na ogarniętego furją rodzica.

– Dobrze wam. Trzeba wypędzić z was diabły – powiedziała ciotka Róża, oglądająca rekrucką tresurę. – No tak, maminsynek okazuje się żydowskim płaczkiem – skomentowała mój widok.

Pomimo wielu doświadczeń, niejednokrotnych zwątpień, wiara w Boga zagnieździła się w nas głęboko. Po latach nie potrafię ocenić, w jakim stopniu szatan zawładnął naszymi duszami, mogły to być promile a może nawet procenty. Nie ulega wątpliwości, że podczas walki o nasze dusze niewątpliwy wpływ miał diabeł, zwalczany przez trzepocącego skrzydłami Anioła Stróża.

Pod koniec lat siedemdziesiątych dobro musiało solidnie wygarbować skórę złu. A mówiąc poważnie: szesnastego października 1978 roku, kiedy na tronie watykańskim zasiadł Polak Karol Wojtyła. Jak miliony Polaków ogarnęło mnie i Brata mocne wzruszenie. Nadawano transmisję z pierwszego wystąpienia Polaka-Papieża. Siedziałem z synem i żoneczką przed czarno-białym telewizorem i zacząłem drzeć. Po plecach przebiegały dreszcze. Nerwowo wycierałem łzy, by ukryć emocje przed synem i ślubną. Chyba wówczas doznawałem przemiany.

Na chwilę jeszcze wrócę do narracji w stylu inkwizytorów. Tych wydających wyroki na kobiety podejrzane o cielesne kontakty z szatanem, za co topiono je w kłocznych dołach i zadawano straszliwy ból,

pałac je żywcem na stosach. Więc gdy drżałem ze wzruszenia, słuchając Wielkiego Polaka, zagnieżdżony w zakamarkach duszy szatan musiał skręcać się i wić w cierpieniach. Jakby to nie mnie grzesznika, a sierść tkwiącego we mnie diabła, nadpalały piekielne płomienie i zanurzano go w kotle z gotującą się smołą.

Razem ze mną ogromna większość Polaków przeżywała swoiste katharsis. W słowach: „**Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi**”, naród otrzymał zapowiedź wielkich zmian. W tym chyba najważniejszej, zrzucenia nieszczęścia komunistycznej niewoli.

Nie od razu, ale wkrótce zaczęła mi sprzyjać fortuna. „Czyżby za sprawą sił Wszechmocnego, do którego częściej zacząłem się zwracać”?

* * *

Do Warszawy zajechałem w kwietniu po cinkciarskim debiucie Radka. Ku mojemu rozczarowaniu na ulicach rzadko pojawiali się cudzoziemcy, było ich jak na lekarstwo. Śledziłem kilka wycieczek zachodnich turystów. Oprawdzali je znający obce języki przewodnicy. Spróbowałem zaproponować kupno złotych idącemu nieco z tyłu młodemu Brytyjczykowi z wycieczkowej grupy. Stał zaciekawiony.

– Exuse me, friend – zacząłem. – I’v got an interesting offer to you. – Pospiesznie zacząłem wyjaśniać propozycję korzystnej dla niego wymiany banknotów z wizerunkiem królowej Elżbiety z platynową, zabezpieczającą przed fałszerstwem nicią, na mniej ciekawie prezentujące się nominały z pospolitymi twarzami rolników czy górników.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy turysta się uśmiechnął i sięgnął po portfel. Lecz wtedy, wyrosła przede mną nawet ładna kobieta z bladą groźną twarzą. Do puchowej kurtki miała doczepioną niklową blachę, z napisem ORBIS GUIDE⁷.

– Proszę odejść, zaraz wezwę milicję. – Zagroziła, rozglądając się za mundurowym funkcjonariuszem.

Chciała złapać mnie za rękaw. Uskoczyłem.

– Odczep się suko – warknąłem, pośpiesznie odchodząc.

Peron dworca gdańskiego, po zatrzymaniu się ekspresu Paryż-Moskwa, prawie zionął pustką. Minęło mnie zaledwie kilku spieszących się przyjezdnych. Jasne, przyjechałem za wcześnie, najazd dewizowych turystów miał się zacząć za prawie dwa miesiące. Bałem się zaczepiać zagranicznych biznesmenów w holu hotelu Forum (obecny Novotel). Tam każdy cieć, portier i kelnerka byli esbeckimi kapusiami.

Nie mając pomysłu co robić, żeby zabić czas, poszedłem do kina Luna. Oglądając dokumentalny dodatek przed marnym filmem fabularnym, wpadłem w zachwyt. Widzowie zaczęli spontanicznie bić brawo. Wy-

światlano krótkometrażowe dzieło Krzysztofa Gradowskiego Konsul. Następnego dnia pojechałem do WFD na Chełmską i przez redakcję wytwórni zdobyłem telefon autora świetnego filmu. (Tupetu mi nie brakowało). Zadzwoiłem i umówiłem się z reżyserem. Gratulowałem mu pomyslowego dokumentu. Od razu przeszedł ze mną na „ty”. Rozmowa trwała kilkanaście minut. Napomknąłem o swojej pracy w WFD i filmowych poczynaniach w Stodole. Nazajutrz zadzwoniłem do niego ponownie. Zapytałem, czy nie miałby dla mnie pracy?

– To wpadnij za godzinę do kawiarni przy Hotelu Europejskim. – Zaproponował.

Spotkanie z reżyserem w najelegantszej wtedy kawiarni w Warszawie uznałem za dobry omen.

Gradowski musiał mnie polubić, skoro po zamówieniu kawy od razu zaproponował dobrze płatną pracę asystenta reżysera. Niestety, obowiązki w czasie „asystentury” zaczęły mnie nudzić od początku. Siedzenie w biurze kierownika produkcji na Chełmskiej, czy snucie się na planie, było nie do zniesienia. Czułem się piątym kołem u wozu. Minął tydzień „pracy” i Krzysiek zaproponował napicie się wódki. Usiedliśmy w barku Związku Filmowców Polskich i już po pierwszej pięćdziesiątce spojrzał mi wnikliwie w oczy.

– Myślisz, że nie widzę, jak cię męczy praca przy moim filmie? – zapytał. – Nie mam pomysłu na danie ci ciekawego zajęcia, jeszcze nigdy nie pracowałem z asystentem.

Opowiedział mi jak po skończeniu łódzkiej filmówki, sam dostał pracę asystenta u reżysera Barei. Znany filmowiec kręcił komedię w Sopocie, a on czuł się tak samo źle, jak ja teraz. Nie potrafił się odnaleźć przy realizacji filmu.

– Bareja zaproponował, abym poszukał kilkunastu pięknych dziewczyn – (Krzysiek był przystojnym mężczyzną i pewnie uwiódł niejedną). Nie wyobrażasz sobie, jak się wtedy namęczyłem. Szczęśliwie miałem rozrywkowego kolegę z samochodem. Z trudem udało się nam zgromadzić dziewięć efektownych panienek. Przedstawiłem je Barei, a on zaproponował, abym wmieszał dziewczyny w tłum wczasowiczów schodzących w dół Monciaka⁸. Wyróżniające się urodą statystki miała filmować kamera z wolno jadącego naprzeciw samochodu. Pomysł nie wypalił. Operator wychwycił może dwie buzie, a dziewczyny poznikały rozerwane przez sezonowych donżuanów. Ty wiesz, jak się wtedy czułem? Zapewniam cię, gorzej niż ty na moim planie. Bareja jednak mnie pocieszył.

„Słuchaj Krzysiek – powiedział. – Nic nie musisz robić. Jest lato, świeci słońce, masz plażę, przestań się przejmować, poderwij jakąś dziewczynę, masz przecież opłacone wakacje i pensję”.

– I powiem ci teraz to samo – oznajmił mi Gradowski. – Wprawdzie jeszcze nie ma lata, ale olej mój film i tego palanta kierownika produkcji. Idź sobie na dyskotekę, czy do teatru. Baw się dobrze. Masz umowę na dziewięć miesięcy i bierz pieniążki z Chełmskiej.

Byłem mu wdzięczny. Nigdy przedtem i potem nie miałem tak wspaniałomyślnego szefa. Spotkałem się jeszcze z Krzyśkiem parę razy. Mówił, że bierze się za kręcenie bajki. I rzeczywiście, za dwa lata na ekranach polskich kin pokazał się jego kultowy film dla dzieci Przygody pana Kleksa.

Pod wpływem Gradowskiego zacząłem pisać bajki o zwierzętach – to pomogło „rozkręcić się” w pisaniu. Tasiemiec o dramatach rozmawiających ze sobą psach, krowach, koniach i sarencie, pisałem na starej maszynie Olimpia. Wprawdzie bajka była mizerna, jednak wkrótce złapałem wenę. Stworzyłem kilkanaście

opowiadań o boksie i chuliganach, część rozesłałem po wydawnictwach. Spodobały się redaktorowi Nowego Wyrazu. Moje opowiadania ukazały się w Empikach, w całej Polsce.

Czasem sobie myślę, że ziszczenie się pragnienia o zastąpieniu filmu pisarstwem, to premia od Wszemocnego za zwrócenie się ku NIEMU, a do tego zainspirował mnie polski Papież. Spłynęło też na mnie dodatkowe dobrodziejstwo. do kieszeni zaczęła spływać spora gotówka.

* * *

Okolice Hotelu Sudety była niebezpiecznym miejscem do cinkciarskich transakcji. Tam nie trudno było znaleźć się w potrzasku. Przeważnie kręciło się paru wścibskich typów. Ich ruchy były energiczne, mieli pewny siebie wygląd, który zdradzał ich uprzywilejowaną pozycję. Nie mieliśmy wątpliwości, musieli być przedstawicielami komunistycznych organów ścigania. Złapani na gorącym uczynku, mogliśmy znaleźć się w nie lada tarapatach.

Wtedy przez przypadek uśmiechnął się los. Opuściliśmy okolicę hotelu z kwaśnymi minami, kiedy koło dworca Wałbrzych Miasto usłyszeliśmy stukot kół hamującego pociągu.

– Zobacz. – Trąciłem Radka. – To zagraniczne wagony. Takie same widziałem na warszawskim dworcu gdańskim.

Były intensywnie zielone i w przeciwieństwie do części brudnych polskich, błyszczały czystością. Zabiło mi mocniej serce.

– Chodź. – Pociągnąłem brata.

Pobiegliśmy na dworzec. W okienku kolejowej informacji powiedziano nam, że ostatnie trzy wagony jadą z samego Paryża do Moskwy. Więc zmieniono trasę! Międzynarodowy ekspres nie jechał już przez Poznań, a Jelenią Górę. Musieliśmy ocenić, czy znajdziemy w nim cudzoziemców chcących wymienić walutę. Byłem pewien: tam muszą podróżować potencjalni klienci.

Kupiliśmy bilety do Jaworzyny Śląskiej i wskoczyli do ruszającego pociągu. Jazda pośpiesznym pociągiem między Wałbrzychem a Jaworzyną trwa około pół godziny. „Czy to wystarczy na walutową transakcję”? Wsiadliśmy do polskiego wagonu i nagle KLOPS! Drzwi do francuskich wagonów były zamknięte specjalnym kluczem. „Chybiony pomysł”? Pociąg pędem minął dworzec w Świebodzicach. Pokonał już połowę drogi do stacji, dokąd mieliśmy ważne bilety. Staliśmy bez nadziei w przedsiönku, koło przejścia między wagonami. Wtedy przez okno w drzwiach do luksusowego wagonu zobaczyliśmy pasażera w towarzystwie konduktora. Używając nasadowego klucza, konduktor otworzył drzwi i obydwójce przeszli obok, zmierzając chyba do wagonu restauracyjnego. Drzwi zostawili otwarte. W podnieceniu ruszyliśmy na podbój El Dorado. Już w trzecim kolejnym przedziale spotkaliśmy Francuza. Chętnie wymienił nam wszystkie złotówki.

Hura! W kieszeniach mieliśmy pękaty zwitek pięknych kolorowych stu-frankowych banknotów.

Podróż między tymi dwoma stacjami stała się dla nas rutyną. Średnio dwa lub trzy razy w tygodniu pokonywaliśmy tę trasę i stopniowo puchły portfele. Oczywiście, by móc funkcjonować, musieliśmy „odm-

rażać” zachodnią walutę. Radek znalazł stałego nabywcę marek zachodnich, hodowcę goździków Wańkę. Wiedzieliśmy o nim, że siedział w więzieniu i jego pasją było zaliczanie dziewczyn, bynajmniej nie cieszących się dobrą reputacją. Zanim został producentem kwiatów, zdobył sławę jako okradający klientów złotnik. Możliwość dorobienia się fortuny ułatwiły mu niejasne kontakty z oficerami SB. Uważany był za jednego z najzamożniejszych facetów w Szczawnie-Zdroju. Byliśmy częstymi gośćmi w jego willi, którą kupił na obrzeżu uzdrowiska. Kurs wymiany, proponowany przez Wańkę nie był zły i prawie zawsze dało się coś utargować. Radek kupił fabrycznie nowy motocykl WSK-a. Jednośląd pozwalał na szybsze przemieszczanie się po okolicy – a w naszej działalności było to ważne. Dzięki motocyklowi brat miał czas na godzenie waluciarstwa z boksem.

* * *

Walenie się peerelowskiej gospodarki przyspieszyło przed słynnymi strajkami 1980 roku. . Reakcją skompromitowanej władzy komunistycznej było poszerzanie kręgów donosicieli oraz wszelkiej maści kapusiów. Komuna zachwiała się w posadach, cała energia MSW skanalizowała wysiłek na zwalczaniu „solidaruchów”.

– Nie chcę komunizmu, a zachciewa im się strajków!?! – musiał krzyknąć na tajnej partyjnej egzekutywie Kiszczak albo któryś z komunistycznych generałów. – Trzeba im pokazać! Te skurwysyny (czyli społeczeństwo) mają chodźć brudni, nieogoleni i głodni. Mogą wpierdalać kartofle i popijać octem.

Domniemana groźba komunistycznego waśniaka musiała mieć miejsce, bo szybko na sklepowych półkach pozostały prawie wyłącznie butelki z octem. Brakowało mydła, papierosów, żyłek. Znikło prawie wszystko. Nie było alkoholu, a o maselku, skrawku aromatycznej wędliny, czy choćby papierze do wychodków, należało zapomnieć. Zastanawiałem się, gdzie poznikały te podstawowe towary? Nagle krowy przestały dawać mleko? Przecież brakowało masła, serów, śmietany. Czy zabito wszystkie świnie i spalono chlewnie? Zaprzeszono produkcji żyłek, mydła, papierosów? Jakoś nie słyszałem o totalnym zatrzymaniu wszystkich branż przemysłu spożywczego i lekkiego. Skoro tak, to nawet na zwolnionych obrotach trwającą produkcję żywności, upraw tytoniu, i wszelkich niezbędnych do życia artykułów gdzieś magazynowano. Jak ogromne musiały to być magazyny? A może wszystko wysyłano do „przyjaciół” zza Bugu? Tego tematu nie podniosło nawet Radio Wolna Europa ani Głos Ameryki. Gdzie się to podziało?

Reglamentacja przysmaków, rzecz jasna nie dotyczyła luksusowych orbisowskich lokali. Tam przyjeżdżali cudzoziemcy, płacący dewizami. Jednak ceny potraw były poza zasięgiem portfeli przeciętnego Polaka. Nie dotyczyło to na szczęście mnie ani Radka. Mieliśmy fart. Wzmoczona działalność SB, jej kapusiów i donosicieli, skupiła się na zwalczaniu wrogów komunizmu, osłabiło ich zainteresowanie takimi jak my. Na czele Solidarności stanął super agent specjalny TW Bolek. Sam uwierzyłem w jego zbawieną rolę dla Polski. Wprawdzie, kiedy słuchałem jego pogmatwanego bełkotu, nie raz puchła mi głowa. Ale wtedy, w Sierpniu 1980 prawie wszyscy uważali go za bohatera.

Z dnia na dzień rósł popyt na walutę. Zbieraliśmy z Radkiem cinkciarskie żniwa.

- 1 Wyjaśnienie dla młodych czytelników, nieznających ówczesnych realiów.
- 2 Czy potrzebuje pan informacji?
- 3 Wreszcie ktoś, kto mówi po francusku.
- 4 Potrzebujecie taksówki? Mam dwie do dyspozycji.
- 5 Przepraszam, potrzebuję zachodnich pieniędzy dla matki na lekarstwa. [...] Proponuję 40 zł za Markę. [...] Oczywiście (zgadzam się).
- 6 No jasne.
- 7 Przewodnik orbisowski
- 8 Ulica Bohaterów Monte Cassino, której przedłużeniem jest sopockie moło.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 02.10.2019 09:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.